

Pogawędka niedzielną

Nowe zmartwienie pana Walerego

Walery Kłębuszek znów jest niepokojony. Doprawdy nie mam pojęcia, co z tym człowiekiem robić! Ostatnio dostał awans i podwyżkę pensji, co na dzisiejsze czasy jest poprostu fenomenem. Usłysawszy o tem, spodziewałem się zastać go w cukierni uradowanego, a tymczasem srode się pomyliłem. Kłębuszek — mały okrągłutki Kłębuszek — tkwił przy swoim stoliku z miną taką, jakby pochował kogo z najbliższych.

— Panie Walery, co się stało? Słyszałem o podwyżce, o awansie, a pan się martwi?

— Hm, hm... Widzi pan — rzekł, podnosząc okrągłą twarz z nad gazy — ja się martwię sprawami „de publicis”, jak je określa Sienkiewicz w „Trylogii”.

— Nie rozumiem! Wszystko dzieje się u nas świetnie i według wskazówek wieszczów. W polityce zagranicznej „ciemno wszędzie, głucho wszędzie”, w wewnętrznej „dalej wiara idź przytomnie”... Czemże się tu martwić?

— Przedewszystkiem powolnym biegiem wypadków.

— Co też pan mówi?! Świat biegnie chyba z rekordową szybkością.

Pan Kłębuszek pokiwał smutnie głową.

— Tak się nam tylko wydaje! — rzekł.

— Eh!...

— Naprawdę! Oto dowód: siódmeo marca Niemcy wkroczyli do Nadrenji, a potem Hitler przedstawił Europie swój plan pokojowy. Prawda?

— Tak.

— Upłynęło przeszło cztery miesiące i nie rozpatrzono, ani projektu Hitlera, ani kontr-projektu Francuzów. Gdzież tu szybkość?

— Ale w innych dziedzinach pedzimy jak szaleni.

— W jakich? Włochy zdobyły Abisynję, lecz dopiero teraz Liga Narodów utopiła sankcje w wodzie słów. Czyż nie można było to go dokonać wcześniej? Czy mówcom zabrakło śliny w ustach, a słów na języku? Szesnaście lat gadałi i nigdy ich nie zatkało, a tu teraz masz!... Nie, panie! To wasztko idzie bardzo powolnie... Jakby tak na mnie, ho, ho! Jabym szybko działał! Na niemiecki projekt zaraz buch! kontrprojekt. Na kontr - projekt znów kontr-kontrprojekt i tak dalej. Byłby ruch jak na karuzeli. Wprawdzie Niemcy staliby w Nadrenji jak słupy, ale byłby ruch w interesie. A tak co? Nada.

Pan Kłębuszek zwiesił głowę i zadumał się. Kelnerzy leniwie snuli się po sali, czarna kawa stygła, papierosy w patentowanych gilzach dopalały się do samej walty, dymiąc w górę sinymi strugami. Dymek — początkowo prosty, jak słup, potem wefnił się, kłębił,

kędzierzawił i zniknął w ogólnej chmurze pod sufitem. Pan Walery wciąż milczał. Wreszcie, w chwili, gdy olbrzymi zwis popiołu spadł bezzwrotnie do popielniczki, podjął cichym głosem, obejmując się wokół trzosiłwie:

— Z moimi sprawami prywatnymi — też źle.

— No?

— Bo to, widzi pan, oddawna chcę się wcisnąć na rządową posadę.

— Wiem, wiem...

— Ale to trzeba mieć nosa.

— Niewątpliwie.

— A mój organ powonienia, tfu!, niech go diabli.

Spojrzałem na malutki, poddarty w górę nos pana Kłębuszka i westchnąłem ze współczuciem.

— Nic nie potrafisz dzisiaj tym kuternogą wywachać! — ciągnął

mój rozmówca. — Dawniej, kiedy się kto na mnie spojrział podejrzliwie, czy to w cukierni, czy tramwaju, czy wogóle, to ja mu, panie, zaraz z kieszeni „Gazetę Polską” ciągnę. Zastanawiałem się nią, jak tarczą, czytając... I, w porządku! Aż tu masz, kiedyś mi ją skonfiskowali.

— To już dawno.

— Dawno, nie dawno, ale ja, panie, straciłem wiatr i stanąłem w gąszczu politycznym, jak ten stary wyżeł — emeryt, co już węchu nie ma, lata po polu i próżno tropów szuka. O!

— Hm...

— A w ministerstwie podanie moje leży...

— Ma pan protekcję?

— Naturalnie! Przecież nie samą czarną człowieka żyje, ale i zagrychą. A do zagrychy, wiadomo,

buteleczyna obowiązkowa... Powiem panu, że nawet nie lubię pić ale jak już zaczne, to dla samej oszczędności pół butelki wychylę. Trudno: surowe życie, bieda.

— Tak, tak, rozumiem...

— Więc, jak pan widzi, znajomości posiadam.

— To świetnie.

— Wcale nie świetnie, bo nie wiem, które użyć!... Kiedyś postanowiłem dzwonić do faceta, co z arystokracją się pobratął. Wstałem rano (bo jego tylko rano można zastać), biorę do ręki słuchawkę. Ale, kiedy ją przytknął do ucha, jakby mnie jaki prąd elektryczny przeleciał. Cisnąłem słuchawkę na widełki i biegiem do gazety. Otwieram i wie pan, na co natrafiam?

— No?

— Na to, jak pan premier z wicepremierem do spółki konserwatorom niby święty Michał Archanioł djabła. Aż-em zdreptał. „Waluś, trzymaj się!” rzekłem sobie i zaraz po południu spotkałem się z naprawiaczem. Co on tam kiedy w życiu naprawił, nie wiem, ale porządnym naprawiacz. W młodości nawet o „Zarzewie” się otarł. I tak sobie gadu, gadu przy wódeczce, przy zakąskach, a ten-ci mi o narodzie, o tem, że się naród zgubiło, że trzeba inaczej... Słucham i błędną jak ten obrus, którym stół nakryty.

— A, to dlaczego?

— Jakto: dlaczego? Przecież ja, panie z endeckami od 26-go roku ani słoweczka, ani diu-diu! Jak tylko ujrzę znajomego narodowca, tom zaraz na drugą stronę ulicy przechodzę. Kiedyś, mówię panu, to tak-em latał przez Nowy Świat, że mnie mało tramwaj nie przejechał i do tego zapłaciłem coś osiem złotych kary za niewłaściwe omijanie endecków! Bom, uważa pan, uciekał na ukrop.

— Okropne!

— Ba! Ale niech pan słucha dalej. Kilka dni wahałem się, czy zażyć tego naprawiacza, czy nie, a tymczasem zdarzył się Nowosielec. Panie!

Tu pan Kłębuszek wytrzeszczył oczy nieprzytomnie, chwycił mnie mocno za obie ręce i potrzaskał nad samym stolikiem.

— Panie, Witos! — ciągnął — Z tego romansu nad mogiłą Pyrrza gotów wyjść taki galimatjas, że strach! Bo ja wiem? Może nawet Polska narodu polskiego!

Patrzyłem w pełne grozy oczy pana Walerego. On tymczasem puścił moje dłonie i zadumał się nad cześć, bo całe czoło mu się pomarszczyło.

— Ale wiem, co zrobić! — prze-mówił. — Pójdę do Rzymowskiego, żeby zwołał jaki zjazd kulturalny. Bo jeśli nas kultura nie uratuje, to patryjotyzm, psia krew, górą!... Zobaczyć pan!

Jan Waśniewski.

Z teatrów

Frontem do radości

Rewja Zrzeszenia Artystów pod kier. Hanki Ordonówny w Cyruliku Warszawskim

Hanka Ordonówna już po raz drugi w bieżącym sezonie prezentuje w Warszawie zorganizowany przez siebie spektakl rewjowy — najpierw, przed kilku miesiącami, w teatrze na Karowej, obecnie w lokalu objętości prowincji Cyrulika.

Obie rewje, a zwłaszcza ostatnia „Frontem do radości”, pozwalają zorientować się w upodobaniach artystycznych Ordonówny. Idą one wyraźnie po tej linii, którą w swoim czasie reprezentowało „Morskie Oko”. A więc położenie nacisku na efektywność strony dekoracyjnej, konstruowanie błyskotliwych finałów, dużo muzyki, piosenek, dowcipy przeważające na tematy erotyczne i aktualne, całość pomyślana w żywym, barwnym rytmie. Przyglądając się momentom dawnych rewij, zerkając Ordonówną z żalosną tradycją tekstów Własta i wykazującą większą, choć w rezultatach niezawsze szczęśliwą troskę o poziom literacki przedstawienia.

Teksty do „Frontem do radości” pisało kilku znanych autorów rewjowych — dr. Pietraszek, Karpiński, Minkiewicz, Świnański i Krzemieński. Zdawałoby się, że tylu i tak niewątpliwie zdolnych poetów stworzy program nie tylko pierwszorzędny literacko, ale i nowy w sensie pomysłów. Niestety z tej strony spotyka widza zawód. Rewja jest dowcipna, dużo w niej humoru, piosenki mają wdzięczne teksty, monolog Krukowskiego jedno z najlepszych, jakie miał kiedykolwiek ten świetny aktor, ale przy całym wysokim poziomie literackiego opracowania uderza dość niemiło panoszący się w wielu numerach szablon i banał. Nie obyło się więc bez t. zw. numerów „egzotycznych” — Rosja, Hiszpania, Ameryka, Wiedeń, wyspy Pacyfiku, tradycyjna poezja dowcipów przypada w udziale Żydom, był i pokaz stylowych tutei i defilada pań, przebrańch za kwiaty.

Ponieważ ubiegły sezon skąpo obrodził rewjami, więc słucha się tego

„Frontem do radości” przyjemnie, zwłaszcza, że aktorsko stoi przedstawienie na wysokim poziomie. Ale gdyby Ordonówna dała kilka z rzędu premier o tej samej wartości i podobnych atrakcjach — szybko okazałoby się, że to co teraz publiczność bierze, po miesiącu czy dwóch zaczęłoby ją nużyć i frekwencja natychmiast spadłaby.

Mam wrażenie, że rewja rozporządzając tak doskonałym materiałem aktorskim, jaki jest u nas, zawsze może cieszyć się sukcesami, ale pod jednym warunkiem — autorzy muszą odświeżyć swoją pomysłowość, szukać nowych tematów i nowych ujęć. W przeciwnym wypadku rewja będą się mogły utrzymać w Warszawie jedynie, jako imprezy dorywcze, niezdołne do zacierpienia dłuższego oddechu. Nie pomogą wówczas wyrzekania, że miljonowe zgórą miasto nie jest w stanie utrzymać przy życiu jednego teatru rewjowego.

Największe pole do popisu w obecnej rewji mają Ordonówna, Krukowski i Sym. Ordonówna zrobiła wrażenie, że jest znawcą usposobiona. Jej taniec miał żywiołowy niepokój, a piosenki zawierały trafny wyraz i przekonujące ujęcie. Humor Krukowskiego, jak zawsze, świecił sukcesy. Bardzo równie szczęśliwie wypadły parodie piosenek zagranicznych Syma. Ten sympatyczny aktor okazał się doskonałym odtwórcą rozmaitych stylów i kto wie, czy ten rodzaj, skłaniający się ku grotesce, nie odpowiada mu bardziej, niż śpiewanie sentymentalnych przebojów.

Reszta zespołu z Lawińskim, Kraszewską, Libicką i Rakowieckim na czele zupełnie dobra. Bardzo korzystnie sprezentowały się tancerki z baletu Opery Poznańskiej, ładnie tańczyli również Rogoyski i Ostrowski. Efektowne dekoracje Galeskiego. Orkiestrę prowadził dyskretnie Ludo Philipp.

Jerzy Andrzejewski.

Na ekranach

„ZONA DWÓCH MĘŻÓW”

W KINIE „ATLANTIC”

Na tle innych programów letniego sezonu jeden z lepiej zrobionych filmów. Dobre tempo akcji, sprawna reżyseria i niezła gra Sevrge'a Brenta i Kay Francis. Głównym gwoździem filmu jest salto mortale, jakie w pewnym momencie wykonywa akcja. Oto pewną damę, w danej chwili cnotliwą, ale w przeszłości nie bez grzechu, zaciekle śledzi zazdrosny mąż. Gdy żona wyjeżdża w daleką podróż, mąż „przysięga” jej tajnego detektywa. Oto detektyw zamiast strzec swej pupilki od małżeńskich zdrady, sam ją do niej nakłania. W rezultacie mąż może sobie powiedzieć, jak Grzegorz Daudin u Moljera: sam tego chciał Grzegorz!

Film zbliżony do typu farsy

bulwarowej oczywiście nie troszczy się o kryteria moralne i za jedynę zadanie uważa bawienie publiczności.

Nadprogram — oryginalna groteska rysunkowa. Z. B.

WYJEŻDZAĆ NA WYPOCZYNEK

prosimy PAMIĘTAĆ, że

ABC — NOWINY CODZIENNE

można

KUPIĆ I ZAPRENUMEROWAĆ

w każdym

URZĘDZIE POCZTOWYM

G. G. LARDELLI

POLNA 30

Al. Jerozolimskie 35

poleca swoje

doskonałe

LODY

„CASSATE”, COMBY, KREMÓWKI

Codziennie koncerty

Z plastyki

Coś dla pań

Upał jest, więc nie wymagajcie ode mnie za wiele. Zamiast uczonych wywodów, ciężkostrawnych przytęk temperaturę, wolę was poczęstować czemś lekkim. Ponieważ jednak nagłówek: „Z plastyki” obowiązuje, możemy poruszać tematy tylko z tej dziedziny, ostatecznie — mówić o malarstwie. O malarstwie pań na własnej buzi. Tym, którzy się zgorszą („bo krytyk musi być poważny”), przypomnę Norwida. Norwid mówi, że wszystko musi być piękne; łyżka, miska, nietylko t. zw. dzieła sztuki. Więc dlaczego nie miałaby piękna być również kobieta? Niby dlaczego? Istnieje nawet takie powiedzenie u pań: „zrobię się na piękna”, to znaczy pomaluje sobie buzię. A o pięknie krytyk może mówić. To też się rozgrzeszam.

Nie będę oczywiście dawał technicznych wskazówek, tylko powiem, jaki rodzaj malowania twarzy uważam za właściwy ze względu estetycznych, a jaki — nie. Ponieważ głos mój będzie

głosem przedstawiciela brzydszej połowy ludzkości, piękniejsza może weźmie go pod uwagę, bo czasem pragnie się przeciw mężczyznom podobać. A więc uwaga, drogie panie! Oto autentyczna opinia mężczyzny.

Jak w innym malarstwie, tak i tu, rozróżniam dwa rodzaje: malarstwo dekoracyjne i naturalistyczne. Kobiety stworzyły jeszcze trzeci rodzaj i właśnie popełniły błąd; będzie o nim mowa poniżej. Zaczniemy od malarstwa dekoracyjnego. Kobieta, idąc na bal, może swą twarz stylizować, gdy wkłada siwą peruczkę, to nie w tym celu, by komuś wzmówić, że ma siwe włosy. Jest to efekt dekoracyjny jedynie. Tak samo malując przed balem swą twarz, czyni z niej pewną stylizację i prawda natury nie jest tu potrzebna. Możemy to nazwać malowaniem stylizacyjnym, umownym tak, jak umowną stylizacją jest również maska kłowna z areny cyrku. Nikt się nie pyta dlaczego kłowna ma takie usta, od u-

cha do ucha, dlaczego ma kreczę na policzku i kropkę zamiast oka. Ta maska stanowi pewną kompozycję, zadaniem jej staje się stworzenie pewnego wyrazu, nie liczącego się z efektami natury. Podobnie postępuje kobieta, pragnie także swej twarzy nadać pewien wyraz, w tym wypadku oczywiście innej treści estetycznej.

Na odmiennych zupełnie przesłankach estetycznych opiera się malowanie twarzy na codzień. Pobudką do takiego postępowania były mankamenty własnej urody. Zaczęto wzmacniać czerwienią błędną ust, podkreślać zbyt niską oprawę oczu. Ale wszystkie te środki, które zastępują naturę (takie im powierzono zadanie), już z tytułu swej roli muszą ją udawać, to znaczy nie powinny być dostrzegane. Rumieniec na twarzy kobiety powinien być tak zrobiony, aby wyglądał, że jest prawdziwy, innymi słowy, naturalny. „Dlaczego pań tak smaruje sobie usta?” — pytam młodą panią. „A bo mam bardzo blade”. I w rezultacie oglądam nie czerwone usta, tylko bardzo czerwona pomadkę.

Dosadnym i jaskrawym retuszo-

waniem swych wdzięków nikogo panie nie oszukają, każdy dostrzeże pacykowanie, a czyżby paniom o pokazanie kosmetyków chodziło? Gdy siedzę koło takiej damulki w tramwaju, gdy widzę tę twarz, wysmarowaną kremem, usta ciemno-karminowe, oczy zabrudzone rozmaitymi paskudztwami — obrzydliwość mnie poprostu bierze. Dziękuję Bogu, że nie jestem tej wydry ani mężem, ani kochankiem, ani narzeczonym i że nie muszę jej całować.

Na rozpowszechnienie wśród kobiet tego rodzaju pojęć o malowaniu twarzy, wpłynęło — mam wrażenie — opaczne zrozumienie celów charakterystyki aktorskiej. W życiu codziennym dziś wiele pań maluje się tak, jak na scenę. Ale zadaniem charakterystyki aktorskiej (pomijam tu tworzenie typów) jest przywrócić twarzy ludzkiej to, co w niej ginie dla widza, zwłaszcza z dalszych rzędów. Twarz widziana zdaleka, jest już tylko szarą plamą; giną w niej poszczególne rysy. Trzeba mocno podkreślić oczy i usta, żeby były widoczne. Takie malowanie twarzy aktorki (a i aktorów) z bliska raz przesadą i jaskrawością, grubym wykonaniem,

jak dekoracja teatralna, naturą się staje dopiero zdaleka. To co wydaje się naturalnem, zlagodzone przez odległość, nigdy nie będzie niemi zbliska. Niechże panie o tem nie zapominają.

Ponieważ mam jeszcze trochę miejsca w swoim odcinku, poruszę także drugą kwestię, już z innej dziedziny, ale również dla pań aktualną. Przechodząc ulicą, widzi się w oknach wielu sklepów rozmaite kostiumy kąpielowe. Napisałem: „rozmaite”; każdy domyśli się, że mowa tu o kostiumach kąpielowych dla pań, gdyż panowie od lat zadowalają się zwykłymi, nie wymyślnymi w kroju, majteczkami. W kostiumie damskim natomiast, ciągle widzimy jakieś zmiany, które dają przedewszystkiem do tego, by przykrywając, gwołi przyzwolności, tylko to, co konieczne, podać możliwie największą powierzchnię ciała działaniu słońca. Spotyka się nawet kostiumy złożone z dwóch oddzielnych części: majteczek (tak, jak dla pań) i biustonosza z tego samego materiału. Otóż pragnąłbym przeciwko takim pomysłom wyrazić swój jaknajgorętszy protest, protest oczywiście plastyka. Jako

plastyk, pomiję argumenty: że to nieprzyzwoite, że „kobieta z towarzystwa tego nie nałoży” — obchodzi mnie w tym wypadku tylko estetyczna strona zagadnienia.

Już sam rozdział kostiumu na dwie części nie jest pomysłem szczęśliwym, gdyż sprawia wrażenie łata na ciele ludzkim, co nie wygląda estetycznie. Plama majteczek ma swe usprawiedliwienie estetyczne, bo akcentuje w postaci to miejsce, gdzie trzon tułowia wspiera się na dwóch kolumnach nóg. Podkreślenie konstrukcji wydaje się nam czemś logicznym. Natomiast plama takiego kostiumowego biustonosza przecina, ni w pięć, ni w dziewięć, połowę ciała i żadnego zgola estetycznego uzasadnienia nie posiada. Przytem, co tu gadać, takie „zakrywanie” mija się z celem, gdyż skupiając materiał kostiumowy tylko na pewnej, bardzo niewielkiej części ciała, w prowokujący sposób zwraca na nią uwagę. Jeśli kąpielowy kostium damski ma być estetyczny, górna jego część zawsze powinna posiadać chociaż minimalne związanie z dolną.

Wiktor Podolski.